

– Jak to, pani chyba nie jedzie na to DZIKIE OSIEDLE?!

– Ależ tak, nie tylko jadę, ja tam zamieszkałam – odparłam.

Wróciłam na osiedle. Odetchnęłam świeżym powietrzem, pachniało dojrzałymi liśćmi. Niebo było intensywnie niebieskie, takie pocztówkowe, z nieśmiałym sierpem księżycy. Na tym tle przeleciał mi nad głową wielki biały ptak. Furkotał głośno skrzydłami, robił wrażenie mechanicznej zabawki o wydłużonym kształcie. Sąsiedzi przechadzający się z pieskami – ratlerkami jamnikowatymi też przystanęli zdumieni. – Bocian, prawdziwy bocian – wykrzykiwali – tylko czemu tak nisko leciał i czemu samotnie?

Wówczas poczułam się obdarowana przez przyrodę, wdzięczna losowi za to, że pierwszy raz z bliska widziałam lecącego bociana, mając kopę lat. Dla takich chwil warto żyć!

17.09.2012 poniedziałek

To pierwszy rok, w którym nie dokuczały nam hordy olbrzymich komarów jak z thrillerów, ale też nie slychać było wieczorami rechotu żab i nie przelatywały nam nad głowami bociany. Pewnie z powodu zabudowania podmokłych łąk, a przy okazji zasypania bajerek i stawów. Nareszcie i nasza osiedlowa rzeczka grzecznie płynęła pogłębnym i utwardzonym korytem.

Po jej lustrze niczym barwne zabawki sunęły dzikie kaczki.

Dzień był słoneczny i bardzo ciepły. Zaczęłam porządkować na balkonie rośliny stojące, wiszące i pnące. Przywiedle już „turki” ożyły pomarańczowymi kwiatkami.

Wreszcie zdobyłam się na telefon do Eli. Była ostatnio mało uchwytna. Częste, długie pobyty w szpitalach w różnych miastach i stan jej zdrowia bardzo utrudniały kontakt.

Gdy zadzwoniłam, Ela szykowała się do kolejnego wyjazdu do szpitala na drugi koniec Polski, więc dłuższe rozmowy odłożyliśmy na później, po jej powrocie.

Dwa lata temu odwiedziliśmy ją z Marianem.

Tak szczupłej Elżbiety, jak wtedy nie widziałam nigdy, nawet w naszych studenckich czasach. Podczas rozmowy zdarła nagle z głowy chusteczkę, od czoła zwisał tylko jeden cienki kosmyk włosów. Stała przed nami, niczym wyzwanie, ta sama Ela, o którą bywałam zazdrosna.

Po pewnym czasie zwierzyła mi się, że włosy jej odrastają, pokrywając czaszkę miękkim puchem i że chyba będą gęstsze niż dotychczas.

Ela nadal nie traci optymizmu. Widzę, że pozytywne myślenie bardzo wspiera ją na duchu, bo cóż innego pozostaje nam w najtrudniejszych momentach życia, prócz Wiary i Nadziei? Tych cór Sofii nigdy nie wolno opuścić, a zarazem trzeba dbać o to, by one nas nigdy nie pozostawiły.

Czy wówczas, gdy nadejdzie niewiadome KIEDYŚ, będę umiała o tym pamiętać?

Wojciech Kajtoch

MÓJ KRAKÓW (WSPOMNIENIE I ESEJ)

1. MIESZKANIA

Od zawsze liczyły się dwa: rodziców i babci.

Babcine było duuuuże. Ale do pokoju cioci się nie wchodziło, do pokoju Pana też. Pozostawał ten największy, gdzie nie wolno było wchodzić do szafy (stała w niej wiatrówka wujka, z której parę lat później strzelałem zapalkami) i wysuwać szuflad wielkiej komody. Po wędrówce długim korytarzem (po drodze stał wbudowany w ścianę regał ze słojami; jego dolna półka podnosiła się i w tak powstałej skrytce znalazłem kiedyś komplet kluczy rowerowych, takich nienormalnie dużych, z niemieckimi napisami i skórzany futerał po lometce, gdzie był kastet – niestety przerwano mi dalsze poszukiwania) po lewej mijano się służbówkę i wchodziło do kuchni. Ta pierwsza była małym, niemożliwie zagraconym pomieszczeniem, do którego światło dzienne dochodziło przez obszerny, prostokątny otwór w ścianie oddzielającej ją od kuchni – okno co prawda w służbówce było, ale wychodziło na rodzaj komina o przekroju metr na metr, utworzonego przez stykające się fajerscianny kamienic; ta druga była obszerna, z dużym oknem, przeszklonymi drzwiami balkonowymi, dwoma piecami kuchennymi (gazowym i kaflowym z blachą), zlewem z zimną wodą, olbrzymim kredensem i równie olbrzymim, przykrytym ceratą stołem, z którego wysuwała się obrotowa szuflada z wielką miednicą.

Z kuchni wyjść było można albo na balkon (o tyle ciekawy, że zamontowano przy jego balustradzie towarową windę, służącą na przykład do dostarczania węgla z piwnicy, więc rezydująca niegdyś w służbówce panna służąca, choć i światła dziennego u siebie nie miała, to przynajmniej ciężarów na piętro nie musiała wnosić), albo do spizarni, gdzie na solidnych, głębokich regałach stały słoje takie same jak w korytarzu, tyle że pełne przetworów. Kompletu dopełniał ciemny, ponury przedpokój i dwie łazienki – ta większa była wykafelkowana, z gazowym piecykiem oraz możliwością przyłączenia wielkiego palnika do gazowej rury wystającej ze ściany; ten palnik, umieszczony pod rodzajem metalowego taboretu z otworem w blacie, umożliwiał grzanie wody bezpośrednio w blaszanym cebrzyku.

Do pewnego momentu nie bywałem w tym mieszkaniu często – nie traktowałem tej przestrzeni jako całkowicie oswojonej i stąd może pewna fragmentaryczność wspomnień. W zasadzie najlepiej pamiętam zapachy: tortu czekoladowego i budyniu z gotowaną gruszką. Lepiej pamiętam mieszkanie rodziców, w innej dzielnicy.

Babcia mieszkała na Alejach, w domu przed wojną luksusowym, w lokalu przeznaczonym w latach trzydziestych dla bezdzietnego, bogatego małżeństwa, państwa inży-

nierostwa albo doktorostwa. Stąd jego układ: salon i gabinet w amfiladzie, sypialnia od podwórka, wyraźnie oddzielona część kuchenna, gdzie ongiś rezydowała służąca. Raczej jedna, bo na dwie nie byłoby państwa stać – ale widywało się i lokale dla ludzi bogatszych. Na przykład redakcja „Pisma Literacko-Artystycznego” mieściła się w latach osiemdziesiątych na Kremerowskiej, w lokalu bodaj sześciobokowym; kolega mieszkał na Kościuszki w jeszcze większym – tam część kuchenna leżała już całkiem daleko od reprezentacyjnych pokoi i miała więcej pomieszczeń dla służby, więcej komórek, klitek, korytarzyków i korytarzy.

Oczywiście wszystkie mieszkania bogaczy były już zrurowane, parę razy przebudowane, porozdzielane na mniejsze lokale, a izby pełniły funkcje dalekie od pierwotnych – pierwotne gabinety do pracy były sypialniami, w dawnych kuchniach gnieździły się dzieci, w służbówkach budowano łazienki etc.

Kwatery łączyły się ze sobą siecią różnorodnych współzależności. W pokojach danego mieszkania wydzielano osobne lokale sublokatorskie, albo na przykład dwa osobne mieszkania miały wspólną łazienkę czy też wcale jej nie miały, bo ta akurat była w piwnicy. Wchodziło się do nich od ulicy lub od podwórka, albo przez balkon itd., itp., niekiedy z jednego mieszkania prowadziło parę wyjść, bywało że z jednego wejścia wchodziło się do dwóch mieszkań. I były one bardzo różne, niekiedy kuchnia urządzona była w dawnym przedpokoju, pokój był kiedyś sklepem albo salą restauracyjną i wtedy na środku, na miejscu dawnego kontuaru stały za zasłoną łóżka. W łazienkach przechowywano czasem parę generacji urządzeń grzewczych, więc piecyk gazowy sąsiadował z termą, a terma ze stuletnią kolumną, w której wodę na kąpiel grzano, paląc węgiel.

Bardzo rzadko, najczęściej w domach jednorodzinnych spotykało się mieszkania, których naturalnego funkcjonowania nigdy nikt nie zakłócał i poszczególne pokoje pełniły swe funkcje od pokoleń. Pamiętam swoje wzruszenie, gdy w czasie prywatki postanowiłem zwiedzić lokal, gdzie mieszkał kolega z klasy i wszedłem przypadkiem do biblioteki. Był to duży pokój, w całości wypełniony głębokimi regałami, na których stał jeszcze komplet Miriamowej „Chimery”.

Mieszkania, w którym mieszkałem z rodzicami, też nikt nie przebudowywał, pomieszczenia w zasadzie zachowały swoje funkcje, jeśli nie zważyć na fakt podstawowy: ten lokal, w którym teraz mieszkała rodzina z dwójką dzieci, przed wojną mógłby być najwyżej garsonierą pracującego w domu mężczyzny – stąd układ dwóch pokoi w amfiladzie i ten fakt, że do jednego z nich wchodziło się osobnym wejściem z klatki schodowej. Mogli więc tam wchodzić interesanci lub klienci, nie defilując po reszcie mieszkania. Ale było ono skromniejsze – brak było pomieszczeń dla służby, spiżarkę stanowiła szafa wbudowana w ścianę kuchni, której podłogę wyłożono zwykłymi deskami, tak że przypominała wiejską izbę.

Były w Krakowie też inne mieszkania, powojenne, przy czym już od razu rzucały się w oczy różnice między domami z lat pięćdziesiątych, o niewielkich rozmiarach, budo-

wanymi wtedy, gdy nie było jeszcze kaloryferów, a oszczędnościowymi mieszkankami czasów Gomułki (znak rozpoznawczy – ślepa kuchnia) i standardowymi M2, M3, M4 w blokach z wielkiej płyty, stawianych za Gierka: w peweksowskich dolarowcach lub w pospolitych produktach fabryk domów. Jednak, o ile widziano różnice między typami mieszkań, to różnic między mieszkaniami danego typu w zasadzie nie było: wszędzie królowało albo PCV albo lastryko, odpadały od ścian malowane farbą olejną boazerie (kafelki, drewno, parkiety były u bogatych), wszędzie stały podobne meble, jedynie pokoiów było więcej lub mniej i ściany mniej lub bardziej krzywe....

I były jeszcze mieszkania ze snów.

Wiele razy śniło mi się, że na przykład wchodzę do spiżarki i zauważam w niej tajemnicze drzwi. Otwieram je... i znajduję dwie izby, co prawda z piecami kaflowymi i bielone wapnem, ale zupełnie zapomniane. Taborety odsunięto od kuchennego stołu, na stole gazeta sprzed pięćdziesięciu lat, w zlewie zaschnięty garczek. Od lat nikt tu nie mieszka... więc kwaterunek nic nie wie! Nic, tylko wprowadzić się i mieszkać.

Zapomnianych mieszkań pełne były piwnice i strychy, zwłaszcza one, bo w krakowskich kamienicach strychy były olbrzymie, czasem dwupiętrowe, wypełnione różnymi drewnianymi balustradami, schodkami, wieżyczkami, piętorkami... w snach były tam lokale. Strychy i piwnice łączyły się z sobą długie labirynty, przewalały się po nich tłumy spieszących się ludzi. Strychy puchły, mieszkań było coraz więcej... i więcej było w kamienicach piętter, więc wydłużały się kolumny wind. Ot, reakcja wyobraźni na problemy mieszkaniowe Peerelu.

2. MIEJSCA

Koledzy żyli w mieszkaniach, mieszkania znajdowały się w domach, największą zaletą lub wadą budynku było więc zazwyczaj to, kto w nim mieszkał. Podobnie było z innymi miejscami – ulicami, parkami, kinami. Liczyło się to, czy było tam to coś / ten ktoś, czego / kogo akurat poszukiwałem, a że człowiekowi różne rzeczy są potrzebne, mapa ważnych punktów się zmieniała, zwłaszcza w zależności od okresów mojego życia. Na przykład był taki czas, gdy interesowały mnie głównie ślimaki i różnorodne kamienie – wtedy najważniejszą okolicą Krakowa były Skalki Twardowskiego, na których terenie tych dóbr było pod dostatkiem, a na dodatek dwie spore jaskinie, alejki do jeżdżenia na rowerze, jednostka wojskowa, której życie można było podglądać.

Po kilku latach Skalki straciły swój urok, a nawet – ze względu na temperament chłopaków z okolicznych osiedli – a były tam dwa: przedwojennej, robotniczej spółdzielni i gierkowskie blokowisko – stały się strefą wojny, jak zresztą prawie całe miasto. Krakowski nastolatek przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, zwłaszcza taki o bardziej inteligentnym wyglądzie, musiał uważać.

Na Kazimierzu nie było co się pokazywać, to nie była dzisiejsza dzielnica kawiarni,

pubów, pożydowskich zabytków, hoteli i hosteli. Tam królowały półrozwalone rudery, pijackie meliny i ich klienci, bary-mordownie z dwoma salami: pierwszą, gdzie piło się piwo i setę (do tego dodawano przechodni koreczek żółtego sera lub tygodniową kanapkę, których nie należało w żadnym wypadku próbować) i drugą, gdzie – ryzykując ciężką szarczkę – można było ewentualnie zjeść obiad. Po Nowej Hucie też trudno było spacerować – tam czyhali junacy OHP, od których można było oberwać rowerowym łańcuchem i Cyganie (raczej nożem). W okolicach Bronowic królowali bracia L., a było ich bodaj siedmiu, w okolicach placu Sikorskiego lepiej było znać niejakiego Żorża.

W Śródmieściu niebezpieczeństwo rozkładało się raczej dość równo – a zresztą dla jednych było to niebezpieczeństwo, dla innych forma zabawy: sporo było amatorów taniego wina pitego po bramach, szybkich, ostrych bójek na ulicy, solówek odbywanych na podwórkach – nie należałem do nich, ale jeśli zamknąć oczy i natężyć pamięć, przypływają obrazy – siedzę na ławce z dziewczyną, podbiega osilek, gwałtownie uderza – blokuje i jego pięść uderza w drewniane oparcie... w przejściu podziemnym kolega po ciosie w szczękę opiera się o ścianę, na posadzce rozbija się butelka szampana... stoję z długą dechą w rękach, zbliża się trzech przeciwników, na szczęście zmieniają zdanie... w szkolnej ubikacji ktoś wali się na podłogę, okulary lądują w pisuarze...

No właśnie... w tej epoce, to znaczy w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych moją mapę miasta wyznaczały głównie licea. Podstawówki i zawodówki były dokładnie takie same, technika dzielono wedle specjalności. Naprawdę różniły się tylko licea. Do jednego chodziłem ja, do innych – koledzy, a jeszcze w innych urządzano dyskoteki; najlepsze były w dziesiątce, gdzie klasa francuska zarabiała w ten sposób na wycieczkę do Francji. Różniły się jeszcze stopniem tolerancyjności. Najbardziej zamordystyczna była jedynka. Wymagała szkolnych strojów (granatowy garniturek, tarcza), ostrzyżonej głowy, a niewiele proponowała. Nieźle uczyli niemieckiego i przedmiotów wymaganych na medycynę, polski był fatalny. Bardziej tolerancyjna była piątka, miała dobrą klasę humanistyczną. Siódemka nie wymagała szkolnego stroju, była najbardziej tolerancyjna, ale uczyła kiepsko. A jeśli ktoś już ze wszystkich liceów wyleciał, znajdował przytulisko u ojców pijarów.

Szkoły i miejsca wagarów królowały przed południem, po południu – miejsca rozrywki. Dużo ich nie było, Kraków nie był – jak dzisiaj – turystycznym miastem pełnym pubów, restauracji, kawiarenek. Na przykład funkcjonowało w nim tylko pięć międzynarodowych hoteli. Był taki przy dworcu PKP (przez lata świecił na nim neon „Korzystaj z usług kolei radzieckich”, zupełnie abstrakcyjny, bo wtedy nie wybierało się przewoźnika), był Hotel Francuski i jeszcze trzy kurwidółki: Cracovia, Kongresowy i Holiday Inn – były w nich nocne lokale, ale nie dla nas. Tak samo jak Feniks w Rynku.

Koncentrowało się w nich nocne życie i dolarowe prostytutki. One nie były dla nas (korzystali zwłaszcza Włosi oraz Arabowie i inni goście z sojusznicznych krajów afrykańskich), nie były dla nas i zwykle, złotówkowe, które okupowały dworzec i plac Bi-

skupi, ale to dlatego, bośmy ich nie chcieli. Nie było dla nas nocnych lokali, restauracji i oferowanych w nich usług, bo nie mieliśmy pieniędzy. Nie było dla nas studenckich klubów – do Jaszczurów i Rotundy nie wpuszczali bramkarze, którzy też chcieli pieniędzy, robiąc ewentualnie wyjątek dla co ładniejszych dziewcząt.

Dla nas było pięć, sześć kawiarni na naszą kieszeń, winiarnia Baryłeczka, parę piwnych ogródków (ech, widziała „Płachta”, jak wygrałem zakład pijąc dziesięć butelkowych piw!) i dyskoteka w podziemiach kościoła Dominikanów, jeśli komuś odpowiadała trzeźwość i tamtejsze towarzystwo. Nic więc dziwnego, że bawiliśmy się po domach, na tzw. prywatkach (dzisiaj mówi się: domówki), obficie żłowiąc bułgarskie rieslingi.

Paradoksalnie – dla mnie epoka rozrywki skończyła się po maturze. Gdy w 1976 roku rozpocząłem studia, zmieniła się i moja mapa miasta, zaczęła się składać głównie z Instytutu Filologii Polskiej na Gołębiej, Biblioteki Jagiellońskiej, Biblioteki Miejskiej (wówczas na Franciszkańskiej), Biblioteki Pedagogicznej na Kochanowskiego, a wkrótce i akademika Piast, bo tam mieszkała moja dziewczyna. A wkrótce w ogóle minął czas, gdy moje życie realizowało się w miejskiej przestrzeni. Generalnie bardziej zainteresowała mnie i dotąd interesuje abstrakcyjna przestrzeń idei, problemów, umysłowych i życiowych zadań – nie szukam ich rozwiązań w miejscach, które można wyznaczyć na mapie czy planie.

Ale nadal lubię moje miasto, wspominam z sentymentem pewne jego okolice i obserwuję, jak się zmieniają.

3. OKOLICE

W pewnych miejscach miasta czegoś się poszukuje, kreśląc na jego planie jego osobistą mapę – z jednej strony typową, bo niektóre z potrzeb dzieli się z całą grupą, z drugiej strony niepowtarzalną, gdyż konfiguracje potrzeb bywają bardzo różne.

W mieszkaniu człowiek może się schronić, to jego przestrzeń własna, do której wpuszcza się wybranych – innym broni się wstępu, czego symbolem są drzwi na klatkę schodową – masywne, czasem antywłamaniowe, zamykane na dwa, trzy, cztery zamki, a niekiedy dodatkowo zabezpieczone kratą.

Obok zamkniętej, obiektywnej przestrzeni mieszkań i otwartych, subiektywnych przestrzeni sieci miejsc - istnieją jeszcze okolice, czyli przestrzenie półotwarte, publiczne lecz oswojone, w których ich mieszkańcy czują się niejako u siebie, bo je znają, bo w nich załatwiają swe codzienne sprawy.

Mają okolice charakter i subiektywny, i obiektywny. Z jednej strony bowiem, załatwiając w pobliżu mieszkania lub miejsca nauki/pracy codzienne zakupy i sprawy, człowiek natrafia na granicę, poza którą nie chce mu się, lub nie ma potrzeby już iść. Z drugiej strony jednak tak rozumiane okolice często mają charakter także obiektywny, a nawet urzędowy, a na pewno intersubiektywny, gdyż na daną granicę natrafia z reguły

nie jeden człowiek, a cała ludzka grupa. Granicą może być park, szczególnie ruchliwa ulica, rzeka, mur, wielkie skrzyżowanie itd., a że wedle takich granic urzędowo wyznaczano dzielnice, więc właśnie ich fragmenty bywają okolicami. Bywają okolicami także poszczególne osiedla czy innego rodzaju fragmenty zwartej, mieszkalnej zabudowy.

Obecnie moją okolicę wyznaczają ulice Conrada, Armii Krajowej, Rydla, aleja na miejscu dawnej Młynówki i plac w centrum Azorów, gdzie kończą się trasy paru autobusów. Nie ma jej co opisywać, bo chętny może obejrzyć ją sam. Zresztą moja jest i nie moja, bo mieszkam tu zaledwie kilkanaście lat i niewiele mnie jeszcze z tą przestrzenią łączy.

Do naprawdę moich okolic, takich które dogłębnie oswoilem i w których naprawdę coś przeżywałem, zaliczam Dębniki lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, okolicę w pobliżu skrzyżowania Mazowieckiej z Alejami Słowackiego w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Okolice jeszcze moje, ale już trochę mniej - to pas pomiędzy ulicą Misjonarską, gdzie chodziłem do podstawówki, a Parkiem Krakowskim (to w drugiej połowie lat sześćdziesiątych) i (jak chyba dla każdego krakowianina) Stare Miasto wraz z przestrzeniami wokół Placu Sikorskiego, Placu na Groblach, Jubilata i Błóń - w tych okolicach mieściły się moje licea (pierwsza połowa lat siedemdziesiątych). Zaznaczam daty, gdyż okolica jest nie tylko przestrzenią. Jest czasoprzestrzenią, bo człowiek w różnych okresach swojego życia przebywa w różnych przestrzeniach.

W tym szkicu opiszę dwie okolice.

Ta pierwsza, przy skrzyżowaniu Mazowieckiej z Alejami Słowackiego nie była zbyt ostro wyodrębniona. Generalnie było to miejsce, gdzie kończył się pas kamienic wybudowanych w latach trzydziestych i Kraków międzywojenny przechodził w powojenny.

Mieszkało się tam paskudnie: przy Alejach spaliny tak śmierdziały, że w dzień otwarcie okna od ulicy w zasadzie nie było możliwe - a od ciemnych podwórek atakował grzyb i fetor śmietników, ale było to miejsce praktycznie samowystarczalne. Zaopatrzenie zapewniało pięć sklepów spożywczych i pobliskie targowisko - Nowy Kleparz, potrzeby duchowe mieszkańców zaspokajał kościół św. Szczepana i dwie meliny z wódką (jedna zlokalizowana w grupie murowanych baraków wybudowanych przed wojną dla biedoty i nadal pełniących swoje funkcje), w pobliżu była podstawówka, dom kultury, żłobek, przedszkole, wypożyczalnia kaset video, poczta, apteka, ośrodek zdrowia, a nawet posterunek milicji. Liceum, gdzie pracowałem, było oddalone kwadrans drogi na piechotę. Miejscem spacerów z dziećmi i dziecięcych zabaw był pas zieleni - alejka przy ul. Grottgera. Były też restauracja i kawiarnia. Większość mieszkańców okolicy mogłoby jej nawet na co dzień nie opuszczać, gdyż na miejscu były dwie fabryki: wytwórnia telefonów i zakład produkujący słodycze. Sporo tego było, jak na niespełna 4-6 kilometrów kwadratowych.

W sumie nic ciekawego, ale tam odchowałem dwójkę dzieci, tam za rogiem mieszkał Krzysiek Paciorek, młody poeta, który pracował w pogotowiu, nie mając matury został

wolnym słuchaczem na polonistyce, ciągle klócił się z żoną Aśką i miał kłopoty z SB (niestety już nie żyje, powiesił się na klamce na początku lat dziewięćdziesiątych, pozostawiając po sobie syna i jeden, jedyny tom wierszy), tam mieszkała Ela, Kaśka i inne przyjaciółki mojej żony - w sumie ze dwudziestu ludzi mówiło mi dzień dobry i jakoś wrosłem w ten fragment miasta, który dziś, po piętnastu latach od mojej stamtąd wyprowadzki, niewiele się zmienił. Jedynie liczba mieszkańców zmalała, bo coraz więcej kamieniczników tam wraca, wyrzuca lokatorów i na miejscu mieszkań pojawiają się hostele, sklepy, siedziby firm; no, oczywiście miejscowe fabryczki szlag trafiał.

Natomiast Dębniki, które opuściłem lat temu trzydzieści, przeżyły swoją rewolucyjną przemianę jeszcze w połowie lat siedemdziesiątych. Połowę tej dzielnicy amputowano - domy wyburzono, budując na ich miejscu duże skrzyżowanie, hotel i czteropasmową szosę. Zostało tylko ich centrum z najbliższym otoczeniem.

Było to i jest ciekawe miejsce: dawne podmiejskie sanatorium (pełna nazwa: Dębniki Zdrój). W przyuliczne ciągi kamieniczek wrosnięte są stare wille, gdzie zapewne mieszkali kiedyś letnicy i kuracjusze. Dzielnica posiada własny rynek, który, jak to w małym miasteczku, jest otoczony miniaturkami miejskich kamienic - na oko dziewiętnastowiecznych - niestety szpaler budynków nie jest kompletny, są w nim przerwy lub plomby nowocześniejsze zabudowane. Od ryneku odchodzą cztery uliczki, a w zasadzie ich załączki, tak jakby budowę miasteczka przerwano i nigdy jej nie dokończono. Kontynuowana rozbudowa nie honorowała zarysowującego się miniaturkowego urbanistycznego układu.

W latach sześćdziesiątych życie w Dębnikach kwitło. Handel na ryneku prowadziły wiejskie gospodynie zjeżdżające z podkrakowskich okolic, inne, z owiniętą w wielką płachtę bańką mleka na plecach chodziły po mieszkaniach, oferując swój towar, po ulicach chodzili rzemieślnicy proponujący ostrzenie noży, jeździli chłopcy sprzedający z wozów drewno opałowe. Były tu sklepiki: prywatne, państwowe, spółdzielcze oraz bar mleczny i restauracja w rynku, serwujące obiady i wódkę. Dębniki miały swoją podstawówkę, żłobek, przychodnię, parę warsztatów (w jednym produkowano pianina), szewca, a mój sąsiad miał małą wytwórnię oranżady (takiej z krachlą). Przy mojej ulicy była baza MPO (całymi dniami pod oknem smrodziły wielkie śmieciary), gdzie urzędnikiem był inny sąsiad, Wołgajew, prawdziwy „biały”, rosyjski emigrant. Był na Dębnikach spory kościół, była i kaplica.

Ludzie mieszkali tu biedni, sporo pili i z trudem wychowywali bardzo liczne dzieci. Dzielnica miała złą opinię. Dopiero w latach siedemdziesiątych wybudowano jakieś spółdzielcze bloki, więc pojawiło się trochę „bogaczy” - jak na tamte czasy, oczywiście.

W tej dzielnicy się wychowywałem i tu - paradoksalnie - prawie nikogo nie poznałem. Tylko dzieci sąsiadów z góry i dwóch, trzech równolatków, z których jeden i tak po 68 roku wyładował w Izraelu. W swojej rodzimej okolicy pozostałem więc wyobcowany.

Okazało się to wieszczą zapowiedzią na przyszłość...